Tyszkiewiczowie. Kretynga 1.

Pałac w Kretyndze, fotograf nieznany, 1925 r., © Kretinga Museum

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Kretynga leżała na Żmudzi, nad rzeką Okmianą, na drodze z

Taurogonu. W chwili kupna, majątek był brzydki, nie było żadnego dworu tylko dwa domy położone jeden wyżej, drugi niżej. Z dawnych czasów przetrwała „Stara Szwajcarka” i stare dęby, sadzone jeszcze przez Chodkiewiczów, dawnych właścicieli, pochowanych w krypcie kościelnej. Drzewa te zostały otoczone wyjątkową opieką, puste w środku wypełniono kamieniami, a na zewnątrz ściągnięto żelaznymi obręczami. Nowo wybudowana rezydencja nie miała określonego stylu i nie przypominała z przepychem urządzonego pałacu. Nadal wyglądała jak dwa osobne domy, tyle że odnowione. Różnica poziomów między nimi wynosiła ok. 2 metrów.

Na pierwszym piętrze wyższego domu urządzono bibliotekę, obok gabinet, z którego hr Józef kontrolował przez lunetę ruch w alei lipowej. Przy oknie w gabinecie znajdowała się tzw. „trąba”, przez którą można było porozumiewać się z kancelarią na parterze. Za gabinetem i biblioteką, pokój sypialny właścicieli, a obok ubieralnie i garderoby. Na parterze oprócz kancelarii, pokoi służbowych i kuchni zainstalowano łazienkę, niestety tylko jedną dla wszystkich domowników. Ponieważ od strony drugiego, mniejszego domu wjeżdżało się do rezydencji, na parterze znajdował się duży hol. Obok był pokój jadalny, używany tylko dla dzieci na ranne śniadania, poza tym duży salon oraz pokoje gościnne i kredens. Z wielkiego korytarza na pierwszym piętrze z jednej strony widać było park i kaskadę, a z drugiej ogród zimowy z ozdobnym balkonem. Z korytarza wchodziło się do

pokoi dziecinnych, pokoi guwernantek i gościnnych. W suterenie znajdowała się jadalnia dla administracji, tzw. „drugi stół” i jadalnia dla służby tzw. „trzeci stół”, kredens, spiżarnia i mała kapliczka.

Józef Tyszkiewicz, 1881-1885 r., fot. Aleksander Władysław Strauss, © Kretinga Museum

Zofia z Horwattów Tyszkiewiczowa, 1908 r., fot. H. Gaudichon, © Kretinga Museum

Ale hr Józef nie byłby sobą, gdyby nie zaczął wymyślać czegoś oryginalnego. Tak więc te zwykłe w sumie domy połączył, urządzonym z baśniowym przepychem, sławnym potem w całej Europie, Ogrodem Zimowym. W ogrodzie wybudowano małe stawy, połączone kanałami, a nad nimi przerzucono mostki. Nad stawami dwa wodotryski. Między nimi kaskada wpadająca do trzeciego stawu z wysokości jednego piętra. Dół ogrodu otoczono

sztucznymi skałami i grotami. W największej z nich podawano potem bezpłatnie podwieczorki licznym wycieczkom przybywającym z Kłajpedy, Tylży, Królewca i letnikom z Połągi. W grocie tej można było zmieścić aż sto osób. Sprowadzono niezwykle cenne okazy egzotycznych roślin. Słynna „Aurecaria" dochodziła do wysokości drugiego piętra. Tę samą wysokość osiągały liczne palmy sprowadzone z Afryki. Ogród Zimowy oświetlony był trzema łukowymi lampami elektrycznymi, dla których hr Józef wybudował elektrownię poruszaną turbiną wodną podczas jesiennej słoty, a parą wodną uzyskaną z opalanego drzewem lub torfem wielkiego kotła, podczas zimy. Z czasem lampy łukowe zamieniono na żarówki. Elektrownia domowa służyła też potem do oświetlenia pałacu, domów administracyjnych, zabudowań folwarcznych itd.

W chwili zakupu w Kretyndze nie było parku, oprócz starych drzew, pozostałości po hetmanie Chodkiewiczu. Hr Józef sprowadził więc z Schönbrunnu pod Wiedniem, Węgra, pana Hajduka, słynnego ogrodnika-planistę, dla zaprojektowania kretyngowskiego parku i dopilnowania wszystkich robót. Słynny królewski ogrodnik zabrał się więc do pracy. Teren wybitnie nadawał się do założenia parku, ze względu na naturalnie pofałdowany teren i rzekę Okmianę, oraz wpadający do niej malowniczy strumień. W parowie, wzdłuż trasy strumyka ustawiono trzy zapory wodne. Utworzono trzy stawy. Dwa stawy zasilały turbinę wodną, a przy okazji woda spływająca po

sztucznych skałach tworzyła malowniczą kaskadę. Trzeci, najwyżej położony staw, mający ok. 2 km, zasilał park, pałac i niektóre zabudowania gospodarcze. Ten staw w obrębie parku, stanowiący kiedyś podmokłą część lasu, był od zabudowań na tyle oddalony, że zamieszkiwały go stada dzikich kaczek, czapli i pary czarnych bocianów.

Fragment parku w Kretyndzie, fot. Józef Mickiewicz, pocz. XX w., © Kretinga Museum

Park składał się z trzech części. Ogród francuski, znajdował się przed samym pałacem. Cztery duże kwadraty, czyli tzw. „gabinety”, otoczone były szpalerami strzyżonych lip. Każdy kwadrat ozdobiony został cementowym basenem z wodotryskiem, wypływającym z dużych kompozycji z brązu. Po

rogach kwadratu na cokołach ustawiono mitologiczne rzeźby. Ścieżki wysypano żwirem i kwiaty, przeważnie róże, poukładano w wielkich ilościach. Park angielski otaczał stawy, aleję i ścieżki. Do parku włączono las ze wszystkimi polankami i dróżkami. Na tym terenie znajdowała się „Bażantarnia" i wielkie ogrody warzywno-owocowe oraz liczne szklarnie, tzw. „cieplarnie". Park w całości zajmował ok. 300 dziesięcin.

Kretynga, jak każdy majątek, miała mnóstwo folwarków. Wszystkie folwarki i leśnictwa połączono z administracją kretyngowską, siecią telegraficzną, zamienioną potem na telefoniczną. Telefony nie posiadały centrali i dzwonków. Ze ściany wystawała gruba rura, służąca jednocześnie do słuchania i rozmowy. Na każdej wisiała trąba, którą wzywano odpowiedni folwark. Z powodu braku centrali elektrycznej, sygnał i rozmowy słyszały wszystkie folwarki oraz leśniczówki jednocześnie. Każdy odbiorca miał umówiony sygnał, jeden długi, jeden krótki, dwa długie itd. Personel zatrudniony przy utrzymaniu linii powietrznych na słupach, obsługiwał te linie, jeżdżąc na wielocypedach (rower z przednim kołem wielkim i dwoma małymi z tyłu). Hr Józef nadal miał pasję nabywania wszystkich nowości technicznych, jakie pojawiły się na europejskim rynku. Szczególnie dotyczyło to maszyn rolniczych. Z reguły nie nadawały się one do tutejszych warunków. Po pierwszej próbie odstawiano je więc do specjalnie na ten cel przeznaczonej hali.

Pałac w Kretyndzie, fot. Paulina Mongird, 1890 r., © Kretinga Museum

Pałac w Kretyndze, widok na oranżerię, fotograf nieznany, pocz. XX w, © Kretinga Museum

Majątki Kretynga i Połąga, położone na samym końcu Żmudzi i Kurlandii, pomiędzy granicą pruską, a morzem Bałtyckim, nie miały żadnego połączenia kolejowego z resztą Rosji, ani nawet dobrych dróg. Najbliższa stacja kolejowa, Libawa, znajdowała się w odległości 70 wiorst (ok. 71 km), a drogą do Libawy można było przejechać tylko latem. W Landwarowie kolej przebiegała za blisko, tu za daleko. Z konieczności stosunki z Prusami stały się więc ożywione. Memel, czyli Kłajpeda, oddalona była zaledwie 20 km, a na codzienny użytek mieszkańcy nadgraniczni otrzymywali, odnawialne, dwutygodniowe przepustki. Do tego portowego miasteczka jechało siękońmi ok. 2 godzin. Droga do

granicy była błotnista i wyboista, ale zaraz za nią wjeżdżało się na niemiecką porządną szosę. Za szlabanem granicznym odpowiedni urzędnik pobierał opłatę, wyciągając na długim kiju naczynie przypominające łyżkę, służące do wrzucania pieniędzy. Przez granicę wolno było przejeżdżać tylko od wschodu do zachodu słońca, tak więc przy większej ilości spraw, należało w Memlu przenocować. Początkowo służył do tego celu miły hotelik w centrum, a potem hr Józef kupił na obrzeżach miasta domek z ogrodem i tam można już było się swobodnie zatrzymywać. Do pilnowania domu wynajęto Frau Klein, która wraz z mężem prowadziła gospodarstwo. Głównym jej zadaniem było jednak przyjmowanie ogromnej ilości paczek, które przychodziły do Tyszkiewiczów i nie tylko. Zawartość paczek to książki drukowane w Poznaniu i Krakowie, a zakazane w Wilnie czy w Warszawie. Nie tylko polskie, ale i litewskie, jak np. książka do nabożeństwa drukowana w Tylży. Rosjanie chcieli przyzwyczaić Litwinów do czytania cyrylicą i głagolicą, nie zgadzali się na książki pisane alfabetem łacińskim. Ponieważ rozporządzenie wyszło w 1863 r. przewożono książki, drukowane niby wcześniej, wtedy uchodziły za zabytek. Odpowiedni urzędnik na granicy otrzymywał od hr Józefa stałą opłatę w gotówce i w naturze, przymykał więc często oczy na te ogromne ilości książek polskich i litewskich, rozsyłanych potem do Wilna, Kowna i Warszawy. Dla dzieci taki szmugiel był zwykle dużą zabawą, a przy tym miały one poczucie spełnienia obowiązku patriotycznego.

Wyjazdy dalsze do Wilna, Warszawy czy Petersburga było bardziej skomplikowane. Za każdym razem trzeba było postarać się o paszport i pisać w tym celu podanie do Kowna, a czasem i do Petersburga. Paszport był ważny na jeden wyjazd, bez względu na granicę, którą się przekraczało i jeden wjazd z powrotem. Powodowało to duże utrudnienia w podróżowaniu. Bo jeśli wyjechało się w Kretyndze, a wjechało w Wierzbołowie, jadąc do Wilna, w Wilnie trzeba było się starać o nowy paszport, aby móc wrócić do Kretyngi.

Kretynga leżała na Żmudzi, a Połąga w Kurlandii. Obie miejscowości należały do zaboru rosyjskiego, ale w Kretyndze można było używać języka polskiego jedynie w publicznych wystąpieniach, natomiast w Połądze swobody były większe, organizowano więc polskie przedstawienia, śpiewano pieśni, co dla Polaków jest zawsze bardzo ważne.

Ludność z okolic Kretyngi mówiła po żmudzku, ale z urzędnikami rozmawiało się po polsku, gdyż przez wiele lat właścicielami ziemskimi byli Polacy i przez kontakty z Polską, niektóre warstwy społeczeństwa litewskiego przejęły polską kulturę. W Połądze, mimo że położonej w Kurlandii, przeważnie słyszało się język żmudzki, a za Połągą ludność mówiła po łotewsku. Łotysze zachowali swój strój narodowy, co bardzo rzucało się w oczy. Kobiety chodziły w krótkich, fałdowanych spódnicach oraz w gorsetach z białymi, płóciennymi rękawami i w fartuchach, a

wszystko w kolorach czarno-granatowo-zielonych. Ze względu na bliskość Kłajpedy rozpowszechniony był w tych okolicach język niemiecki. Poza tym Żydzi używali żargonu, a urzędnicy mówili po rosyjsku.

Aleksander Tyszkiewicz, który odziedziczył Kretyngę (1864–1945), fot. Benedykt Henryk Tyszkiewicz, II poł. XIX w., © Kretinga Museum

Życie rodziny Tyszkiewiczów toczyło się więc między Kretyngą a Połągą, między zimą a sezonem letnim, połągowskim. Wszystko

szło swoim rytmem. Dzieci rosły, chłopcy uczyli się w Petersburgu, pozostając pod opieką wychowawcy pana Bahra. Przyjeżdżali do domu tylko na wakacje i święta. Dziewczynki miały swoich domowych nauczycieli. Każde z dzieci wykazywało inne zainteresowania, miało inne upodobania i charakter.

Aleksander, dobroduszny, szczupły, o jasnych włosach, ciemnych brwiach i oczach jak u *poczciwego, wiernego psa*, był bardzo lubiany. Uprzejmy pogodny, miał zawsze coś ciekawego do powiedzenia. Gdy wracał z jakiejś podróży opowiadał wszystko ze szczegółami, od samego początku, od wyjazdu. Mówił przy tym tak barwnie i z tyloma opisami, które wprawdzie nie zawsze miały zbyt dużo wspólnego z prawdą, ale słuchać go można było godzinami.

Władysław był zawsze pełen życia i bardzo towarzyski. Jako wielki esteta interesował się strojami, meblami, sztuką, antykami. Trochę zbyt lekkomyślnie wydawał pieniądze i dlatego zwykle miał długi. Jako mały chłopiec mniejsze, potem, jako starszy większe.

Antoni, w młodości bardzo szczupły, potem diametralnie zmienił kształty. Był typem dobrodusznym, nigdy nikomu niczego nie miał za złe. Robił wciąż jakieś interesy, na przemian dobre i złe.

Józef, bardzo wysoki brunet, zupełnie był inny niż jego bracia.

Bardzo oszczędny, skrupulatny we wszystkich drobiazgach. Nie znosił, żeby uważano go za lepszego niż sam się uważał. Jeśli ktoś go pochwalił za jakiś dobry uczynek, zaraz się tłumaczył, że intencje jego nie były tak szlachetne.

Feliks, wyróżniał się wybitną urodą. Jasny blondyn o regularnych rysach twarzy i pięknych oczach w ciemnej oprawie. Kiedyś, gdy przyszedł w odwiedziny do ciotki Klementyny Potockiej z Łańcuta, ta zawołała *jakiś ty piękny, jak to zrobiłeś mając tak brzydkich rodziców.* Poza tym Feliks był cichy, skryty, łagodny.

Bracia mieli zaplanowane zawody, wiadomo było, do jakich szkół pójdą. Aleksander i Feliks do Szkoły Inżynierów Wojennych, Władysław do Szkoły Prawa, Antoni do Instytutu Aleksandryjskiego, Józef do Korpusu Paziów.

Maria Tyszkiewicz (1871–1943) w parku w Kretyndzie, fotograf nieznany, pocz. XX w., © Kretinga Museum

Z sióstr Maria była silną indywidualnością. Od najmłodszych lat zapowiadała, że za mąż nie wyjdzie, bo interesuje ją nauka. Już mając kilkanaście lat wymogła na rodzicach, żeby uczyć ją wyższej matematyki. W tym celu przyjeżdżał raz na tydzień nauczyciel z Gimnazjum w Połądze. To samo było z religią. Maria wciąż coś studiowała, wciąż miała nowe „hobby”. Matematyka, fizyka, filozofia, poezja, a nawet esperanto.

Zosia była innym typem. Cicha i spokojna, a przy tym bardzo wrażliwa i inteligentna. Nigdy nie odzywała się nie pytana, a i pytana nie zawsze, dzięki czemu była niedoceniana przez nauczycielki.

Najmłodsza Helena Klodylda to przeciwieństwo siostry. Wszędzie jej było pełno, wciąż coś psociła, na lekcjach odpowiadała zwykle lepiej, mimo że umiała gorzej. Zosia nie lubiła lalek, ani zwierzątek, które Helenka wręcz uwielbiała.

Młodsze dzieci nie pamiętały już ojca zdrowego, tylko poruszającego się na wózku. Ciężka choroba hr Józefa zaczęła się od nieszczęśliwego wypadku. Raz jadąc konno w marcu, chciał skrócić drogę i przepłynął wpław przez rzekę. Wrócił do domu mokry i zziębnięty. Długo potem chorował i nigdy już nie wyleczył się z ciężkiej choroby serca. Poza tym do płuc wdała się puchlina wodna, tak że trzeba było co kilka miesięcy tę wodę wypompowywać. Do tych zabiegów przyjeżdżali najsławniejsi lekarze z uniwersytetu w Królewcu. Raz sławny profesor, mimo całej swoje wiedzy, przebił płuco i wywołał zapalenie płuc. Tak więc Józef Tyszkiewicz na wiele lat był przykuty do wózka, co niezmiernie przeżywał. Jak tylko poczuł się lepiej, najczęściej po wypompowaniu wody, zaraz miał jakieś nowe pomysły przebudowywania czegoś, czy rozbudowywania. Żona wtedy tak się cieszyła z tego stanu, że bez względu na to ile pieniędzy miało dane przedsięwzięcie pochłonąć, wspierała i zachęcała.

Duszności nie pozwalały choremu spać leżąc, więc miał w łóżku specjalnie wycięte miejsce, wyłożone materacami. Żona najczęściej w szlafroku spała obok niego, żeby być w pogotowiu, gdy będzie trzeba np. podać morfinę. Hr Józef tak się przyzwyczaił do je obecności, że gdy tylko gdzieś wychodziła, zaraz wołał: *Zosiu, Zosiu.* Wstydził się swojej choroby, nawet przed dziećmi. Nie miał kiedyś rodziny i kontaktu z rodzicami, nie potrafił więc nawiązać kontaktu z własnymi dziećmi. Stwarzał dystans, który paraliżował strachem.

Matka, wiecznie zajęta prowadzeniem domu, interesami i ciągłą opieką nad chorym ojcem, też nie potrafiła otoczyć atmosferą miłości i ciepła, którego w dzieciństwie tyle potrzeba. Dzieci odwiedziny matki, w swoim, mniejszym domu, łączyły zwykle z jakimś wydarzeniem, np. gdy w pokoju spadł sufit, zasypało biurka i część podłogi, gdy któreś z dzieci było ciężko chore, lub wiosną w porze egzaminów, dla skontrolowania postępów w nauce. Wychowaniem licznej, młodej latorośli zajmowały się głównie bony i nauczycielki, precyzyjnie dobierane przez rodziców. A kryteria w dobieraniu były różne. Dla hr Zofii najważniejszy był intelekt, umiejętności, ukończone szkoły i komunikatywność. Dla hr Józefa bezwzględnie wymaganym warunkiem w przypadku nauczycielki była uroda. W tym celu kazał wraz z ofertą przysyłać fotografię. Przeglądał potem nadesłane zdjęcia i brzydkie kandydatki natychmiast odrzucał. Raz osoba starająca się o posadę przysłała bardzo piękny swój

wizerunek, a w liście zaznaczyła, że w rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza. Na tę więc hr Zofia kategorycznie się nie zgodziła.

Pałac w Kretyndze, fot. Paulina Mongird, 1890 r., © Kretinga Museum

Hr Józef poza tym stawiał jeszcze jeden warunek, który dotyczył wszystkich pracowników, również na stałe przebywających, lekarzy, inżynierów i rzemieślników. Każdy kandydat na pracownika musiał grać na jakimś instrumencie, lub śpiewać. Pan na Kretyndze kochał muzykę, a od kiedy siedział w domu przykuty do wózka, była ona jego jedyną rozrywką. Orkiestrę musiał mieć przez cały rok. Sprowadził w tym celu z Czech grupę rodzin rzemieślniczych, których członkowie należeli do różnych zespołów muzycznych. Przez jakiś czas pomysł zdał egzamin, bo

ludzie ci pracowali w majątku i tworzyli dość zgraną grupę muzyczną. Z czasem jednak orkiestra się rozproszyła, Czesi powrócili do swojego kraju, została tylko jedna rodzina Suchanków, która wrosła już w nowe warunki. W związku z tym hr Józef zapragnął tworzyć orkiestrę z domowników, no i koniecznie musiała być zatrudniona nauczycielka muzyki, która dawałaby regularne koncerty.

Najodpowiedniejszą kandydatką wydała się 20-letnia Fräulein Retty. Selma Retty, córka Włocha i Niemki, wysoka blondynka o niebieskich oczach w ciemnej oprawie, przyjechała zaraz po ukończeniu Konserwatorium w Berlinie. Koncertowała już jako pięcioletnie „cudowne dziecko". Wszyscy twierdzili, że rzeczywiście była niezwykle utalentowana, nigdy się nie przygotowywała, każdy utwór, Chopina, Bethovena czy Mozarta, potrafiła zagrać ze słuchu, wprawiając słuchaczy w niemały zachwyt. Po przyjeździe do Kretyngi układała więc programy, rozdawała role w duetach czy tercetach, tworzyła amatorski chór. Doktor grał na wiolonczeli, nauczycielka Angielka śpiewała pięknym mezzosopranem, a Fräulein z braku głosu *ślicznie gwizdała*. Nuty sprowadzane były z Berlina, na galerii zimowego ogrodu ustawiano fortepian, a wokół zasiadali domownicy. Do tego na dole, wśród grot i egzotycznych palm, zbierała się publiczność z miasteczka. Selma Retty w długiej wydekoltowanej sukni schodziła w przerwie na dół i kłaniając się pięknie zbierała oklaski od licznych wielbicieli jej talentu.

Hr Józef był tak zachwycony nowym muzycznym nabytkiem, że wszyscy przymykali oczy na licznie jej wady i dziwadztwa. Przede wszystkim nie spełniała roli, do jakiej była przeznaczona, nauczycielki muzyki i niemieckiego. Uwielbiała wszelkie wyjazdy, co było w zasadzie jej głównym zajęciem. Wszędzie miała znajomych i przyjaciół, wszędzie gnały ją jakieś interesy. Jak zaprzęgane były konie przed stajnią, obojętnie kto i dokąd jechał Fräulein była już naszykowana do podróży. Czy to do Połągi, czy do Kłajpedy (Memla), czy też do jakiegoś folwarku, wszędzie była pierwsza. W związku z tym nie miała kiedy udzielać lekcji. Niemiecki był wyznaczony na godziny popołudniowe, muzyka na ranne. Po południu więc Fräulein gdzieś podróżowała, a rano była strasznie zmęczona po nocnych wizytach u znajomych. Zwykle ziewając wstawała z łóżka, dawała jakąś gamę do zagrania, po czym zaczynała przyjemnie gawędzić, częstując dzieci cukierkami, których miała mnóstwo od wielbicieli.

Rodzina Tyszkiewiczów, 1880-1882 r., fotograf nieznany. © Kretinga Museum

Była przy tym bardzo nieporządna. Jako główny lokator jej pokoju naczelne miejsce zajmował kot, znaleziony przypadkiem w parkowej alei, który uwielbiał spać na rzucanych na podłogę wieczorowych sukniach. Zapytana kiedyś, dlaczego się nie myje, przecież wstyd mieć tak brudne nogi odrzekła, że sama nie umie się myć. Nigdy tego nie robiła, myła ją mama, po przebudzeniu, gdy jeszcze rano leżała w łóżku, zanim poszła do Konserwatorium. Mamy nie ma, więc mycia też nie ma. Chcąc nie chcąc sprowadzono więc mamę z Berlina, poczciwą starszą kobietę.

Jeszcze jeden był powód przywiezienia pani Retty. Młoda Fräulein przybiegła kiedyś ze łzami w oczach do hr Józefa, błagając go, żeby ją chronił, bo idzie do niej dawny narzeczony po to, by ją zabić. Zrobiła przy tym tyle paniki, że wyobrażano już sobie jakiegoś draba z twarzą przestępcy. Tymczasem w parkowej alei zobaczono miłego, skromnego młodziana *z rozwianym włosem i krawatem w motyl związanym, fruwającym około kołnierzyka*, którego nie stać było na wynajęcie powozu, więc od Kłajpedy 20 km szedł pieszo. Hr Józef spokojnie z młodym człowiekiem porozmawiał, zapytał się, co robi i jakie ma zamiary. Gdy dowiedział się, że jest to niegroźny i utalentowany rzeźbiarz, umieścił go na stancji u doktorostwa Attenmajerów, a dla zwiększenia bezpieczeństwa, zadecydował o zaproszeniu matki egzaltowanej Fräulein.

Panna Retty nigdy sobie nic praktycznego nie kupowała, z wycieczek przywoziła jedynie mnóstwo drogich fotografii, sztychów i reprodukcji. Materiały na suknie przypominały raczej pluszowe obicia meblowe, a nie tkaninę nadającą się do noszenia. Wiecznie gdzieś fruwała w obłokach, myśli zajmując sprawami wyższej wagi niż przyziemne drobnostki. Jakież więc było zdziwienie całej rodziny i innych domowników, gdy Fräulein Retty oznajmiła pewnego dnia, że wychodzi za mąż i to za kogo, za brzydkiego, grubego z pokiereszowanymi policzkami lekarza domowego dr Orthmana. Doktor miał wprawdzie ładny głos, grał na wiolonczeli i był dobrym lekarzem, ale poza tym był dużo

starszy i ogólnie nieciekawy, tak że młoda artystka zwykle z niego kpiła. Skąd więc ta nagła zmiana? Otóż dr Orthman odziedziczył po stryju malowniczo położone sanatorium w D**ü**sseldorfie. Odezwał się więc we Fräulein zmysł praktyczny, którego nikt się nie spodziewał. Postawiła jednak warunki za swoje sakramentalne: tak. Będzie miała swój powóz i konie, będzie jej wolno jeździć, gdzie zechce i kiedy zechce, cukierków i słodyczy dostanie w dowolnej ilości, no a pocałować da się tylko raz dziennie, nie częściej.

Tak więc mimo tych wszystkich dziwactw i nie spełnieniu roli, dla jakiej młoda nauczycielka była sprowadzona, wszyscy płakali, gdy odjeżdżała. Ubywała dusza artystyczna, organizatorka tych wszystkich wspaniałych koncertów i na dodatek zabierała wiolonczelistę. O nowego lekarza nie było trudno, ale żeby jeszcze do tego dobrze grał, to już większy kłopot. Po Fräulein Retty nastała Niemka Fräulein Kale, ale ta tylko uczyła języka i gam, czasy wieczorów przy fortepianie minęły więc bezpowrotnie. Wszyscy na nią narzekali, a ona zupełnie nie wiedziała, o co chodzi, bo przecież swój zawód wykonuje sumiennie.

GALERIA

Pałac Tyszkiewiczówn w Kretyndze (Litwa), widok od strony ogrodu, fot. Wrzesław Żurawski

Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski

Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski

Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski

Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski

Dwa domy, wyższy i niższy, Józef Tyszkiewcz połączył oranżerią, fot. Wrzesław Żurawski

Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski

Zdjęcia pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze autorstwa Wrzesława Żurawskiego zostały wykonane we wrześniu 2018 roku.

Zobacz też:

> Tyszkiewiczowie. Landwarów.

Kretynga, część 2

Tyszkiewiczowie. Kretynga 2.